

W opałach.

— Hallo... To ty, Piotrze...? Sam...? Nareszcie jestem wolna! Pojechano autem do ciężko chorego... tak do jakiegoś ziemianina, mieszkającego o czterdzieści kilometrów stąd. Mammy cztery, co najmniej, godziny czasu... Oczywiście... Jeśli masz ochotę... Zmieniam suknie i idę... W zwykłym mieszczańskim... Dowiedzenia...

Colette dodała w myśli — „najdroższy”. Tego słowa bowiem nie ośmieliła się powierzyć dźwiękowi telefonicznemu. Zawieszawszy słuchawkę, rozpromieniona pośpieszyła do ubieraalni, narzuciła suknie, płaszcz dyskretnie popielaty i kapelusz „taupé”, który zdecydowanym ruchem wsiadła na swą blond - główkę.

Oznajmiwszy pokojówce, która nadbiegła pomóc jej w ubraniu że idzie z wizytami, wyszła na ulicę wielkiego, prowincjonalnego miasta, gdzie maż jej zdebel sobie taką opinię, jako lekarz, że cały departament wzywał go do węzłowa swych chorich.

Młoda kobieta, skręcając w małą i ciemną uliczkę, rozmyślała nad tem, jakie to szczęście, że maż jej zyskał wielkie uznanie w okolicy, umożliwiające jej schadzkę z młodym inżynierem przysłanym z Paryża do fabryki obuwi, dymiącej swym kominiem na samym krańcu miasta — mężczyzną eleganckim i śmiałym sportowcem, który otrzaskał monotonię z jej życia i odrętwienie z duszy.

Uliczka ginęła na pustkowiu, usianem drewnianemi chatami jedynie, pudełkami i konserw i gruzem. Z prawej strony drogi stało kryte auto szarego koloru obok stosu potfuczonych dachówek. Colette, obejrzawszy się czy nikt jej nie widzi, postawiła drobny pantofelek ze skóry daniela na stopniu i przez drzwiczki, które się jednocześnie uchylły, wsiadła się szybko do środka pojazdu.

Dwie nerwowe i delikatne dłonie pociągnęły ją, dwoje ramion przygarbno, nsta spoczęły na jej ustach.

Auto pachniało fiołkami i skórą. W skośnie ściecym szkłe szyb zimowe słońce lamało się w tysiące olśniewających fasetek. Colette czuła w nogach ciepło grubego dywanu, ogrzanego kula. Usiadła obok młodego człowieka, który czekał z rękami w rękawicach na rozpedowem kole i auto ruszyło cicho.

— Jak pięknie! — szepnęła Colette, zamykając oczy, by pełniej rozkoszować się swem szczęściem.

Auto nabrało rozpędu; pierwsze zbocza gór już widniały przed nim.

— Jaka jestem szczęśliwa! — wyszeptala jeszcze Colette.

Posiadała dwa najsiłniejsze haszysze na świecie: szybkość i miłość. Jedna zwiększała drugą.

— Kocham cię! — odpowiedział jej towarzysz.

Dwudziestokonny wehikuł stanął. Absolutna cisza otaczała ich. Jodły, co się

wdzierały na skaliste ściany góry, kuląc się w wądołach, usypane były śniegiem. Tak oto od trzech miesięcy kochali się Colette i Piotr. Uciekając przed plotkami miejskimi, powierzali tajemnicę swoją przyrodzie, obojętnej i dyskretniej.

Auto ruszyło znów niebawem, obiedzając skłone glazy, wspinając się na wzgórze, zjeżdżając z pochyłości i muskając parowaty.

Kuły ukazywały się na zakrętach, jak szkielety wyszczone przez ostry wiatr górski; wysoka na szczytach graniczenia górskie i żłomy skalne chichotały szardorem.

Nagle, auto, zahamowane, stanęło; było bowiem, wywrócone obok kopca wyrwanej ziemi, zaharykadowało mu drogę; parowat u dołu gotów pochłonąć przyczynę, leżącego na skarpie, o krok od przepaści.

Colette wyskoczyła na drogę, wsiadła za swym towarzyszem; zdolała się jej, że zna auto. Podbiegła do rannego; był nim jej maż, we własnej osobie; miał ranę na czole, z której krew płynęła na ziemię. Siła uderzenia pozabawiła go przytomności.

Spojrzeni po sobie; czyż mogli zostawić go leżącego na drodze i minąć go.

Colette ukleknęła przy zranionym mężu. — Mój biedny Edmundzie! — szepnęła, rozpinając mu futro i macając serce; było: krzyknęła z radości.

Rozgarnęła włosy, w których krew strzępła, wycięła ze swej torebki flakon z eterem, który zabierała zawsze ze sobą i śpiesznie obmyła ranę.

— Trzeba by przenieść go bardzo ostrożnie... bardzo ostrożnie — odezwala się.

Nachyliwszy się, podniosła mu nogi; on wziął za łopatkę. Głowa rannego opadła wtył; krew sączyła się z rany; drżeli oboje. Uczuli się nagle zbrodniarzami i jak gdyby ten zdradzony maż był ich ofiarą.

Musiła potem położyć jego nogi na ziemi, by wejść do auta, gdzie usiadła na siedzeniu tylnem i skąd przyciągnęła rannego do siebie w taki sposób, aby ciało leżało na poduszkach, a głowa była oparta o jej płaszcz futrzany, którego włos już miał na sobie ślady krwi. Jakż on był ciężki. Bała się strasznie uderzyć jego głową o drzwiczki. Ażby go posadzić, Piotr wziął go pod ręce, potem zgiął jego wyciągnięte nogi i posunął je, by móc zamknąć drzwiczki; poczem wsiadł do auta z przodu i ruszył.

Pojazd pachniał w dalszym ciągu fiołkami i skórą, ale okliwa woń krwi łączyła się teraz z temi zapachami.

Zmierzch wieczora poczynał już gasić blask niebieskawego śniegu.

Colette podtrzymywała głowę męża, — wstrząsana nierównościami drogi. Patrzała na powiększającą się czerwoną plamę na chustce, która przewiazala ranę. Ruch auta kotysał ciepłem ciałem rannego, spoczywającego na kolanach Coletty. Piotr odwracał się raz po raz ku niej, wskazując okiem rannego. We wzroku tkwiło pytanie. Colette zaprzeczała ruchem głowy. Oboje truchleli na myśl, aby zdradzony maż nie

odzyskał przytomności tutaj, w tem aucie, przy nich.

Każde stuknięcie auta o drogę czuł w mózgu.

— Jedź wolniej, proszę cię — mówiła Colette.

Raz auto przechylilo się mocno. Coś jakby trzaśło w tylnej części podwozia.

— Tylko tego brakuje, aby się auto nam zapadło — szepnął Piotr.

Na zakrętach musieli kołować długo; ruda była bowiem nalegała drogę; krowy przobiegły gościnnem wpoprzek, wymachując zabłoconemi ogonami przed motorem i nogi stawały jak wryte. Piotr zniechęcony był zahamować samochód. Poczem ruszył w przyspieszonym tempie. Colette, która podtrzymywała głowę męża, przechylała się ku przodowi.

— Wolniej, błagam się — szepnęła.

Usiadł. W wioskach, które mijał przed dwoma godzinami, poznawano szare góry i wsiadłszy dziwili się, że jechało tak wolno teraz.

A jednak z jaką szybkością pragnęli przebyć przestrzeń dzielącą ich od miasta! Z jaką śmiertelną trwogą młoda kobieta czekała chwili, kiedy będzie mogła wymknąć się z tego potwora, do którego wchodziła z tak lekkim sercem!

Ciepło auta przenikało zwolna rannego; nogi jego poruszyły się; dwa palce u ręki przesunęły się po suknie płaszcza; powieki się podniosły. Colette o mały włos nie krzyknęła; spojrzenie męża utkwilo w niej.

* * *

Tydzień upłynął od czasu wypadku i doktorowi nie groziło już żadne niebezpieczeństwo.

— Czy postarałaś się, moja droga, podziękować w moim imieniu młodemu człowiekowi, który był tak dobry i przywiózł mi moje auto? Jemu z pewnością zawdzięczam życie, gdyby zwłoczono bowiem jeszcze godzinę z opatrzeniem mi rany, byłoby już po mnie prawdopodobnie.

Colette, uśmiechnięta, poprawiła poduszkę mężowi, klepiąc ją starannie.

— Bądź spokojny — odparła — zrobiłam, co potrzeba.

I nachylając się, pocałowała go w czoło.

Była teraz zupełnie spokojna; wzrok, który utkwil w niej w aucie nie poznał jej. Wsiadła owego dnia o kilkanaście kroków od miasta, tam właśnie, gdzie spotkała się z Piotrem i wróciła do siebie plechota, podczas kiedy młody człowiek odwiedził doktora do domu swem autem.

Jej maż pozostał nadal pełnym zaufania do niej, zakochanym i najszcześliwszym człowiekiem.

Dla uczczenia jego powrotu do zdrowia Colette postawiła mu na stoliku przy łóżku olbrzymi bukiet róż.

Plam. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJER ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, dnia 24 marca 1929 roku.

Nr. 21

Kult pieśni wśród młodzieży.



W szkole powszechnej im. króla Bolesława Chrobrego w Łodzi powstał wielki chór szkolny, złożony z 250 uczniów i uczennic. Powyżej widzimy zespół chóru podczas lekcji śpiewu. Młodzież przygotowuje się do występów na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Lekcje prowadzi p. L. Maciejewski. Fot. A. Meyer.

TEATRALIA

Nowości sceniczne. — Sztuki polskie w Czechach. — Co grają zagranicą? — Gunnar Heiberg.

Poważnym sukcesem artystycznym tegorocznego sezonu Opery Warszawskiej jest wystawienie „Zmierchu bogów”, ostatniej części Wagnerowskiego cyklu: „Pierścieni Nibelungów”. Najgłębszy bodaj w swych założeniach myślowych, a przytem z maestrią pod względem orkiestralno-scenicznym wykończony dramat muzyczny Wagnera znalazł na scenie warszawskiej bardzo dobrych wykonawców, zarówno w solistach (z p. Dygasem — Zygrydem) na czele, jak w orkiestrze spisującej się bardzo dzielnie pod dyr. Ad. Dolżyckiego. Gorzej natomiast wypadła strona reżyserska wskutek czego brak było widowisku stylowej jednolitości i harmonji w całokształcie koncepcji; jeśli więc chodzi o ramy inscenizacyjne „Zmierchu” nie zostały one dopasowane do treści i rozmiarów tego wielkiego dzieła. Bądź co bądź sprawia ono samą swą wymową muzyczną wrażenie potężne, będąc porywającą manifestacją twórczego geniuszu Wagnera.

Teatr lwowski wystawił w tych dniach trzyaktową sztukę Artura Ćwikowskiego p. t. „Juljan Stanisławowicz”. Treść zaczerpnięta z przeżyć młodego Polaka, który — przyłączywszy się z całym entuzjazmem do szeregów rewolucji rosyjskiej — rozstaje się z niemi wkrótce, gdy doświadczył nieszczęśliwości prowadzących i poznał podszewkę ich działania, skierowanego ku mordom, rozbojom i zniszczeniu. Zresztą, serce „Juljana Stanisławowicza” tęskni za ojczyzną i za tem wszystkim, co w niej pozostawił, a tęsknota ta jest i musi być silniejsza od słomianego nieco zapachu współbojowania z „towarzyszami rosyjskimi” o mało dostępne ich umysłom błogosławieństwa prawdziwej wolności. Udział „Juljana Stanisławowicza” w eksperymencie sowieckim był tylko przypadkiem, którego trwanie musiało być krótkie, a znaczenie — całkiem podrzędne. W opracowanie sztuki włożył autor sporo zręczności scenicznej i miłego patriotycznego sentymentu. Pomimo braku głębszych walorów, „Juljan Stanisławowicz” może liczyć na powodzenie dzięki swej dostępności i zdrowej tendencji. Dobrą postać tytułową stworzył p. Strachocki.

Polska twórczość teatralna uwzględniana jest na scenach czechosłowackich, jak dotychczas w stopniu bardzo skromnym. Dużem powodzeniem cieszą się od dłuższego czasu — wystawiane w teatrach czeskich: „Pan Twardowski” — balet L. Różyckiego i „Moralność Pani Dulskiej” — Zapolskiej. Entuzjastycznie przyjęta została w r. ub. „Halka” (z dyrygentem Młynarskim), duży sukces osobisty odniosła p. Przybyłko-Potocka w „Kochankach” — Grubińskiego. Na r. b. przyjaciel Polski, p. Kodłczek, reżyser teatru praskiego na Winihradach, zapowiada wystawienie „Irydona” oraz „Murzyna Warszawskiego”, poza tem sztukę Kiedrzyńskiego i Krzyw-



Fragment aktu III-go sztuki Kiedrzyńskiego p. n. „Miłość bez grosza” granej w Teatrze Małym w Warszawie. W rolach pp. Malicka, Fritsche, Wesołowski, Junosza - Stępowski i Grabowski.

szewskiego. Niezależnie od tego, szereg występów gościnnych da „Reduta” pod dyrekcją Osterwy, w przejeździe na Zachód i dalej aż do Stanów Zjednoczonych. Wszystko to jednak nie jest zestawieniem imponującym, zwłaszcza w porównaniu z twórczością innych narodów, produkowaną na scenach czeskich znacznie obficie. Literatura rosyjska zajmuje w tym względzie jedno z miejsc czołowych.

Skoro już mowa o Pradze i teatrze tamtejszym „Na Winihradach”, wspomnimy, że teatr ten wystawił niedawno najnowszą sztukę znanego dość dobrze w Polsce Franciszka Langera, p. t. „Nawrócenie Ferdysza Pistora”. Podobnie, jak w swych „Peryferiach” i w tej nowej sztuce sięgnął autor do środowiska dzielnic podmiejskich, znajdując tam i charakterystyczne bogactwo ludzkich typów i różnorodność społecznych nastrojów. Teatr „Na Winihradach” wystawił ciekawą realistyczną sztukę Langera z wielką starannością; rolę główną powierzono znakomitemu aktorowi, Stefanikowi, który też wywiązał się z niej bez zarzutu.

„Burgtheater” w Wiedniu wystawił dość niezwykłą w pomysłach sztukę Leonarda Franka p. t. „Karol i Anna” osnutą zasadniczo na motywach wojennych. Karol i Ryszard jako jeńcy wojenni, znaleźli się w jednym obozie, gdzie zaprzyjaźnili się bardzo szczerze i gorąco. Ryszard pozostał w kraju młodym żoną. Opowiadając Karolowi o niej, wtajemniczył go tak dalece we wszelkie szczegóły małżeńskiego życia, iż Karol uciekłszy z niewoli staje przed Anną — po kilkuletniej nocy rozłące — jako jej mąż. Anna wierzy Karolowi, a gdy później powraca Ryszard, odrzuca go, żyjąc nadal z Karolem. Szczęście inna kobieta wchodzi w krąg życia

Karola i daje mu zapomnienie niezwyklej zdrady małżeńskiej. Akcja, o mocnych akcentach realizmu, odgrywa się w środowisku robotniczym. Pomimo nieprawdopodobieństw w samym założeniu sztuki, ma ona jednak sporo zalet sugestywnej nastrojowości, czem zdobywa sobie poważne sukcesy.

Sensacyjna sztuka amerykańska, grana obecnie z rekordowym sukcesem w Nowym Jorku, p. t. „Reporter” („The Front Page”) nabyta została do wystawienia przez Maxa Reinhardta. Sztukę tę, której bohaterką jest dziennikarka, wykrywająca wielką zbrodnię, opracował dla Reinhardta znakomity autor niemiecki, Rudolf Lothar.

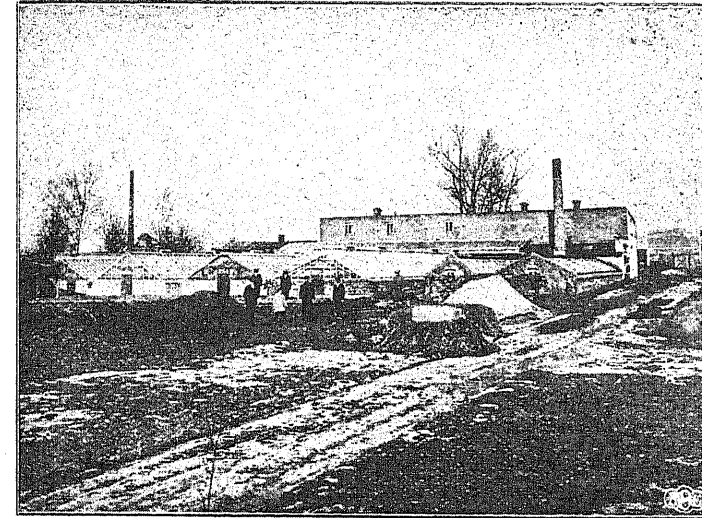
W sędziwym wieku zmarł w Norwegii znakomity pisarz i autor wielu sztuk teatralnych — Gunnar Heiberg. Największem powodzeniem cieszyły się jego utwory: „Król Midas”, „Balhongen”, „Harold Svans Mor” i in. Wybitnie indywidualistyczna tendencja sztuki Heiberga oraz bardzo oryginalna ich konstrukcja formalna uczyniły go autorem głośnym daleko poza granicami własnej ojczyzny. Przez pewien czas Heiberg był dyrektorem teatru w Bergen.

W ostatniej chwili otrzymujemy wiadomość, że krakowskie władze miejskie postanowiły w zasadzie wydzierżawić Teatr im. Słowackiego i że plan tej dzierżawy ma być przedłożony radzie miejskiej na jednym z najbliższych posiedzeń. Jako kandydaci na ew. dzierżawców, wymieniani są dotychczas w Krakowie: Jerzy Leszczyński, poseł M. Dąbrowski i b. dyr. Trzczeński, obecny reżyser wileńskiej „Reduty”.

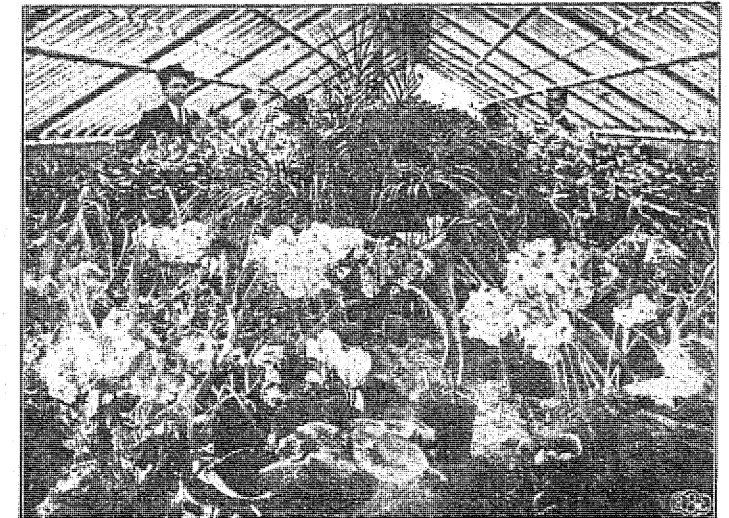
Delta.



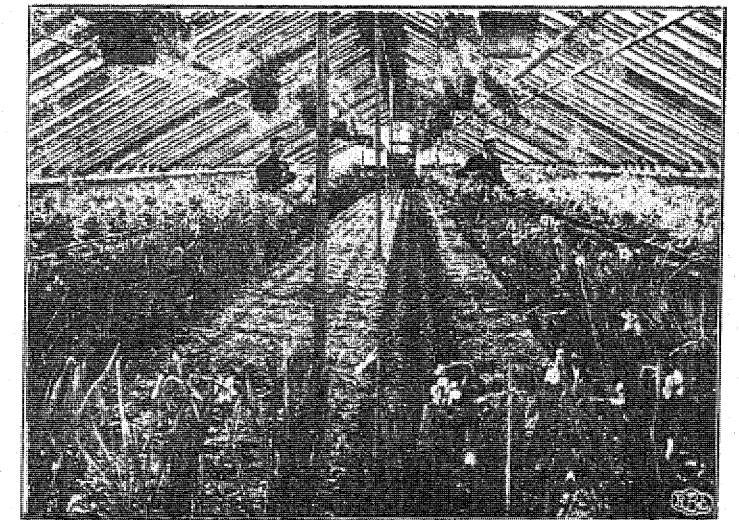
Zakłady ogrodnicze „Marysin” w Rudzie Pabjanickiej.



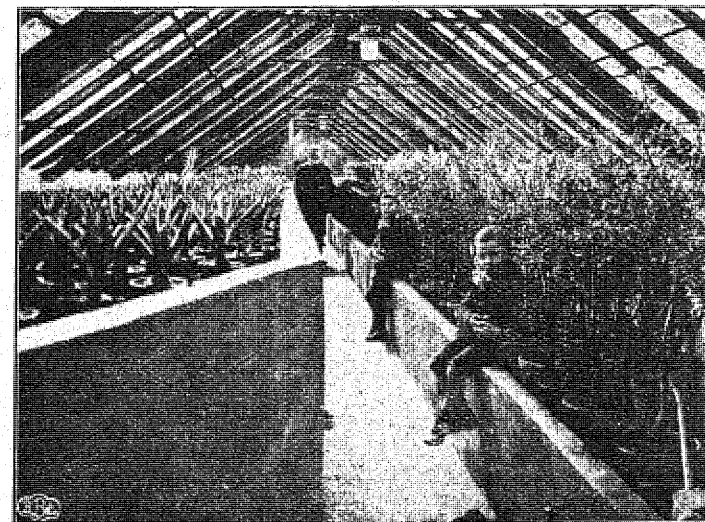
W Rudzie Pabjanickiej istnieją zakłady ogrodnicze „Marysin” wspaniale urządzone, posiadające należycie zabezpieczone oranżerie, w których znaleźć można piękne okazy flory. Powyżej widzimy od strony lewej widok ogólny zakładów, na prawo zaś jeden z oddziałów oranżeryjnych, przeznaczonych dla palm, alpejskich fiołków i cyklamenów.



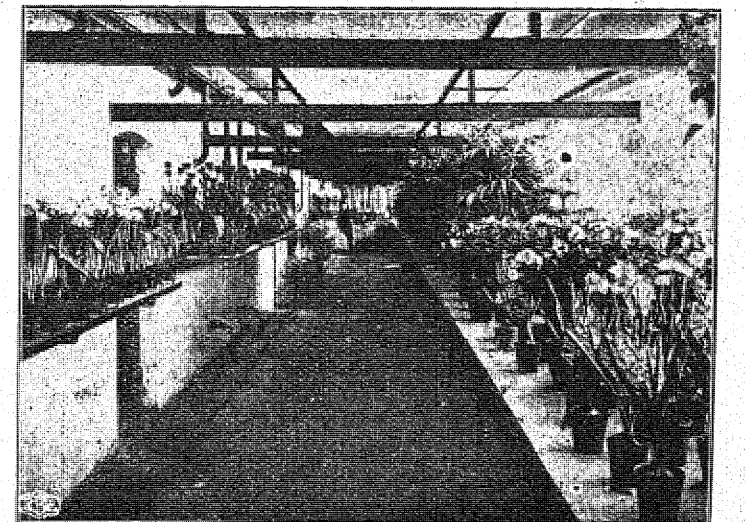
Oranżeria mieszcząca w sobie bzy i hortensje rozwijające się swobodnie i kwiatem swym wzbudzające podziw.



Piękna oranżeria w oddziale narcyzów, lewkonij i cyklamenów, bogato zaopatrzona w najwspanialsze okazy.



Oranżeria, w której odbywa się paczkowanie bzów, hiacyntów i tulipanów.



Wzorowo urządzona chłodnia, z której „Marysin” wysyła kwiaty do właściwych sklepów. Pot. A. Meyer.



Betty Compson i Lon Chaney w filmie p. n. „W wielkomiejskim wirze”, odsłaniającym kulisy życia wielkiej stolicy Ameryki — Nowego Jorku.



Przepiękna gwiazła filmowa, Esther Ralston, zdobyła wielbicieli swego talentu.



Słynna Chinka, Anna May-Wong, odtwarza główną rolę w arcyfilmie p. n. „Piccadilly”, który stanowi obecnie największą atrakcję w świecie kinoteatralnym.



Kulminacyjny moment z filmu „Titanic”.



Nasz rodak, Igo Sym, w swej nowej roli w filmie p. n. „Wiosenna miłość”.



Bebe Daniels, urocza artystka filmowa, wysunęła się na czoło „gwiazd” ekranu.



Brygida Helm w przeróbce filmowej słynnej powieści E. Zoli, p. n. „Pieńniadź”.



Luiza Brooks w przeróbce filmowej tragedji Wedekinda p. t. „Puszka Pandory”.



Znana artystka filmowa, Barbara Kent, w towarzystwie prezydenta Stanów Zjednoczonych, Coolidge'a i jego małżonki, w czasie wielkiego przedstawienia dobroczynnego.



Stowarzyszenia sportowe budzą się z wiosną do życia. Codzienne ćwiczenia P. S. W. F. w Warszawie. Moment rzutu piłką.



Fragment gry w piłkę siatkową w P. S. W. F. w stolicy.



Mecz piłki siatkowej łódzkich drużyn szkolnych.



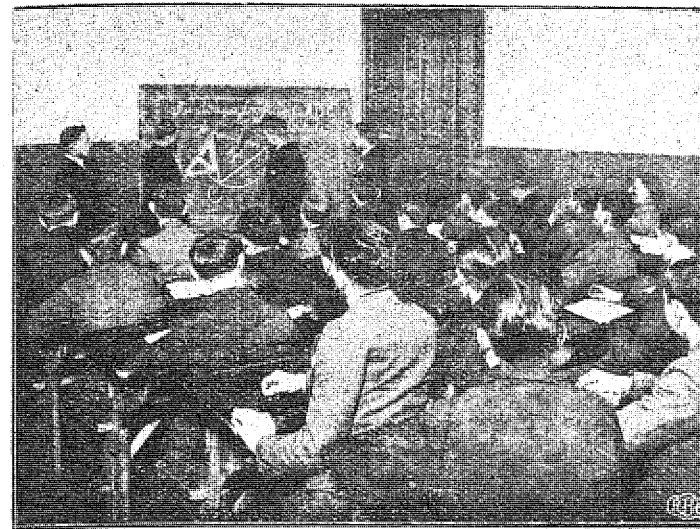
Japończycy z zamilowaniem poświęcają się sportom. Powyżej Japonka Hitomi w skoku.



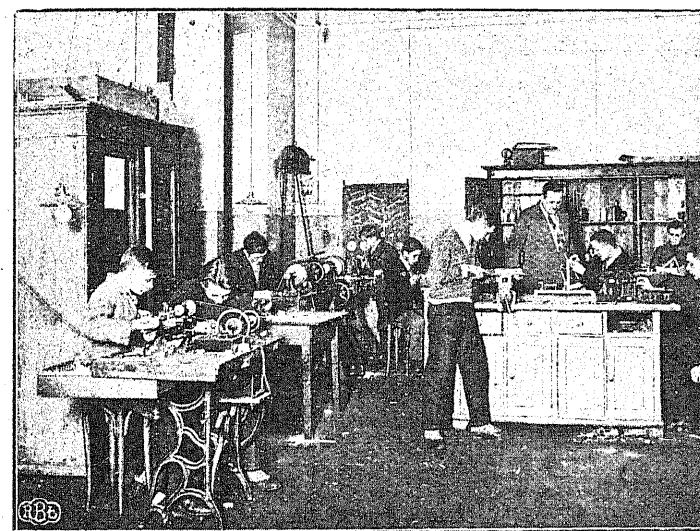
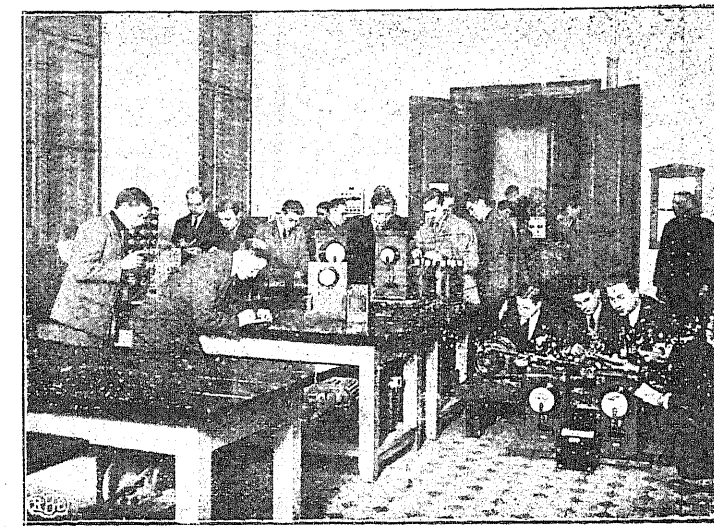
Najlepsi szermierze Laskowski i Segda wezmą udział w walkach o mistrzostwo Polski w Łodzi w miesiącu kwietniu r. b.



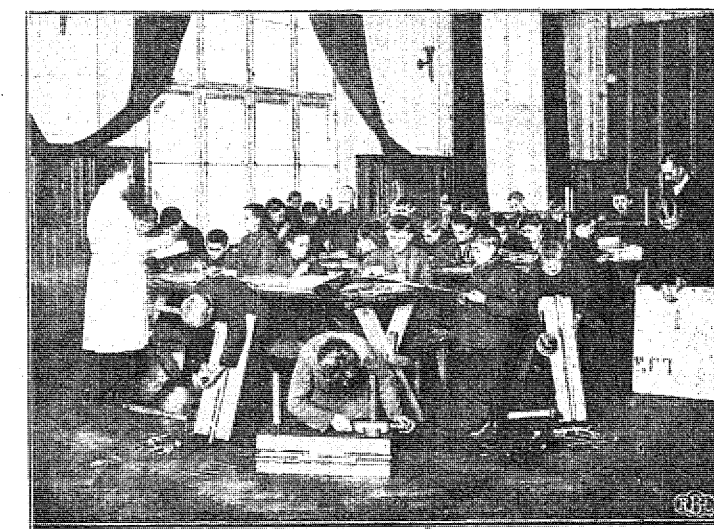
Nurmi, rekordzista świata, został zawodowcem.



Nauka teoretyczna i praktyczna w Miejskiej Zawodowej Szkole Doksztalającej dla elektrotechników przy ulicy Żeromskiego nr. 115. Powyżej na lewo lekcja geometrii i kreśleń w klasie pierwszej, na prawo zaś zajęcia praktyczne w laboratorium elektrotechnicznym.



Zajęcia praktyczne uczniów gimnazjum Miejskiego im. J. Piłsudskiego. Uczniowie przy warsztatach ślusarskich i tokarniach



Uczniowie szkoły powszechnej im. Polesława Chrobrego w Łodzi przy zajęciach praktycznych w pracowni introligatorskiej. Fot. A. Meyer.

JANINA SCHULTZ.

Opamiętanie.

Przenikliwy ziąb. Niebo w gwiazdach, których żywy blask, jakgdyby kłuł w oczy, niczem wdychane, mroźne powietrze.

Dwaj młodzi ludzie idą aleją Pól Elizejskich, patrząc bezmyślnie z pod swych podniesionych kołnierzy na marchew, kapustę i inne różnorodne jarzyny, których dostawcy, uspieni, ciągną wozami sznurami, niby widoma procesja urzędów zaopatrywania w żywność.

Młodzieńcy milczą długo — milczeniem wielkich znużeń czy sytuacji wysoce niemiłych?...

Ten drugi wypadek ujawnia się z krótkiego dialogu, prowadzonego w pobliżu „Chevaux de Marly“.

— Przeklęty bakarat! — przerywa Mauzun, głosem ponurym, milczenie.

— Przeklęty bakarat! — powtarza jego towarzysz, jak echo.

— Ile? — pyta Mauzun.

— 25,000 — odpowiada Augerolle lakonicznie.

— To ciekawe!

— Nie! Wcale a wcale nie ciekawe, smutne tylko!...

— Właśnie, że ciekawe — upiera się Mauzun przy swoim — bo ja również 25,000 jak obszył.

— I cóż w tem ciekawego? Smutne także... i kwita — odpowiada Augerolle, logiczny.

— Masz czem pokryć? — pyta jeszcze Mauzun.

— Ani centyma.

— Ja również — potakuje Mauzun. — Placisz jutro?

— Oczywiście.

— I nie uważasz tego za ciekawe?...

— Nie! Nie widzę, aby ciekawe było, że dwóch głupców traci w głupiej grze sumę, której wiedza, że nie posiadają!

— Więc, co, mój miły Augerolle?... Zrobisz... co?

— Mama...

Głos młodego człowieka załamał się lekko przy tem słowie.

— A ty — dodał po chwili, zapanowany nad rozdrażnieniem.

— Babcia — rzucił z kolei Mauzun krótko.

Byli już przy końcu alei, jeden miał skrócić na prawo, drugi na lewo. Mauzun wziął przyjaciela pod ramię i zatrzymując go nagle, rzekł:

— Słuchaj, wymówiliśmy dwa słowa. — Więcej nawet — odparł Augerolle, stanowczo zrzędczący.

— Tak, ale dwa ważkie. Ty „mama“, ja „babcia“; dwa, które znaczą co innego, aniżeli bakarat, hulanki i inne głupstwa. Dwa słowa, które przypominają, że zrobimy wielką przykrość!...

— Nie rozumiem!...

— Nieprawda, rozumiesz. Jesteś tylko zamknięty jak harem i udajesz lodowatego, jak dzisiejsza pogoda.

— Co dalej?...

— No, widzisz, bracie, postąpiliśmy lekomyślnie, głupio, po warjacku, nieprawdaż? A teraz mamy jeszcze dwie przykrości do wyrządzenia staruszkom naszym, na których wspomnienie obu nam głosy drgnęły, mimo, że przyzwyczajeni jesteśmy uciekać się do nich w naszych perypetjach pieniężnych.

— Więc?

— Więc złaczymy obie przykrości razem

i oszczędzimy jedną z naszych staruszek.

— Nie rozumiem.

— Ależ to bardzo proste: przegraliśmy obaj po 25,000; czyli razem 50,000. Zarówno twoja matka, jak i moja babka mogą nam dać tę sumę bez wielkiego trudu, wiemy o tem. Chodzi tylko o przykrość moralną... Niech więc jeden z nas przyzna się swojej staruszce, że przegrał 50,000; oszczędzimy w ten sposób drugą, ukryjemy przed nią głupi wybryk syna...

— Loteria — odparł Augerolle sucho.

— Jednej z dwóch oszczędzimy przykrości, rozumiesz? Nie dowie się o lekko-myślności syna. Damy jej do powąchania chloroform moralny: nieświadomość...

— A jeśli ja będę zniewolony przyznać się mamie do tej olbrzymiej straty?...

— A jeśli ja, babci?

Augerolle wyjął szybko monetę z kieszonki, mówiąc:

— Głowa, czy orzeł?

— Orzeł! — odparł Mauzum śpiesznie, nim moneta przestała się kręcić.

Obaj młodzi ludzie pochyliłi się razem:

— Orzeł! — oznajmił Augerolle, sucho trochę.

— Spij spokojnie! — dodał zacieśniając kołnierz futrzany u szyi — będziesz miał jutro rano pieniądze i twoja babcia ma już od chwili obecnej, twój „chloroform moralny“.

Poczem oddalił się śpiesznie.

— Augerolle! Augerolle! — wołał Mauzum za oddalającym się cieniem — jeżeli w ten sposób sprawę bierzesz to za nic! Puść w niepamięć moją propozycję! Każdy na swoją rękę poradzi sobie! Słyszysz, Augerolle!

— Daj mi spokój!... To ciekawe! Bardzo ciekawe, jak mówiłeś przed chwilą. Do jutra! — odpowiedział daleki głos.

Jego przyjaciel pobiegł wślad za nim, ale Augerolle znikł tak prędko w brzasku wschodzącego dnia, że Mauzumowi nie pozostawało nic innego, jak wrócić do swej kawalerki.

Po zimnym prysznicu i filiżance wrzącej herbaty, rozciągnął się na łóżku, gdzie, ukolysany zmęczeniem fizycznym i pewnego rodzaju wyrzutami sumienia z powodu swego dziwnego pomysłu, zasnął snem niespokojnym, podczas którego zaciekla partja, w jakiej brał udział, spacer ku Polom Elizejskim, rozmowa z przyjacielem — monolog właściwie z jego strony — milczące wozy, zdążające ku hałom, jak cienie, zlewały się w całość pozbawioną związku. W miejsce jarzyn, paczki i paczki kart tworzyły stopy, ogrodnicy zaś, uspieni, powtarzali głosem bez brzmienia, kiwając głowami, jego słowa: „Przeklęty bakarat! Przeklęty bakarat!“ z miną potępiającą.

Zbudził się nagle, czując czyjąś rękę na ramieniu.

Augerolle stał nad nim z kopertą w rękach i miną poważną.

Zmieszanie Mauzuna wzrosło.

— Masz je? — spytał nieśmiało.

— Bynajmniej — odparł przyjaciel.

— Matka odmówiła ci?

— Nie prosilem.

Wzrok Mauzuna przebiegł jak błyskawica od twarzy Augerolle'a do koperty, którą trzymał w ręku.

Augerolle rzucił mu ją na łóżko, dając gestem do zrozumienia, aby otworzył.

W kopercie znajdowała się fotografia chłopczyka o włosach, wijących się, okrągłych policzkach, łagodnych oczach, ubranego w plisowaną spódniczkę, z biczykiem w rękę i rozradowanym wyrazem twarzy. Mauzum utkwilił pytający wzrok w oczach przyjaciela.

— Otóż trzeba ci wiedzieć, — odezwał się ten wreszcie — że twój idiotyczny pomysł kielkował w moim mózgu w ciągu kilku godzin gorączkowego snu i wydał mi się możliwy po przebudzeniu. Ubrawszy się prędko, zszedłem na dół do mamy — która jest rannym ptaszkiem — o godzinie, w jakiej nie zwykła widywać mnie u siebie.



— Tak wczesnie — zawołała mi na powitanie z radością, odsuwając się z fotelem od biurka, założonego papierami, otwartymi listami i fotografiami. — Wróciłeś więc o przyzwoitej godzinie?

— Przyzwoitej! Niema przyzwoitych godzin dla dorosłych chłopców, którzy mają bzika w głowie. Ale ty, mamo, po co grzebiez się w tym stosie papierów?

Uśmiechnęła się łagodnie. Znasz moją matkę? Wiesz ile ma jeszcze wdzięku w swej postaci, ale nie znasz uśmiechu, którym mnie zawsze obdarza. Uśmiechu, pełnego dobroci, miłości i dumy. Dumy, o, nieba, z wielkiego pasożyta i głupca, jakim ja jestem!

— Po co? — odparła wesoło — Ażeby wstrzymać czas w biegu, cofnąć go raczej. Mam o dwadzieścia lat mniej, ty jesteś małeńki, jestem młoda jeszcze i wierzę temu do dwunastej, kiedy mój chłopiec przychodzi. Wówczas chowam przeszłość do szuflady i całuję czas teraźniejszy. Robię to każdego ranka niemal.

Mówiąc tak objęła mnie ramionami i pocałowała w czoło.

— Jesteś dziś smutna, mamo, dlaczego? — spytałem, zaniepokojony w duchu, czy nie zapomniałem o bolesnej rocznicy.

— Smutna? — powtórzyła żywo. — Smutna, że przeżywam godzina za godziną wszystkie moje dni szczęśliwe? Oszala-

leś, mój synu! Chodź, obejrzyj moją galerję!

I sadowiacz przy swym biurku, rozłożyła przede mną najbardziej niemądrą i wzruszającą z kolekcji. Moja matka została wdową na sześć miesięcy przed moim przyjściem na świat. Dla mnie żyła wyłącznie i dziś przeze mnie żyje jedynie. Jej galerja — to ja, tylko ja w tysiącach drobnych pamiątek. Ujrzałem na biurku swoją podobiznę w najrozmaitszych okresach mego życia: w czepeczku, w sukience, w mundurku uczniowskim, w wieku niewdzięcznym brzydkiego, chudego chłopca o zapadniętych policzkach, cerze pełnej krost i nosie Cyrano; w stroju młodego światowca z kwiatkiem w butonierce itd., itd. Mama pokazywała mi wszystkie te fotografie z jednakiem uniesieniem szczęścia... Wściekłość porwała mnie na ciebie i na siebie. Twarz moja musiała mnie zdradzić, bo matka zamierzała się natchmiast.

— Masz jakieś zmartwienie — odezwała się poważna nagle, odpychając szybkim ruchem swoje skarby. — Przyszędłeś tak rano i niespodziewanie... a ja ci zawracam głowę moimi szufladami...

— Nie, mamo — zaprzeczyłem żywo — rumienię się tylko ze względu na myśl, że tak długo pozwolełem się kochać mnie, nie zastanawiając się nad tem, że nie godzinę jestem twojego przywiązania mamo. Ale teraz zaczniesz się wyścig, a wiesz, że biegam prędko. Muszę dogonić czas stracony i postępowaniem swoim dowieść ci, że i ja mam serce, które mnie kochać, czynami; i warte jest tych skarbów uczuć, któremi je darzysz. Pożycz mi tę fotografię, mamo? Chciałbym pokazać ją Mauzumowi.

— Mauzumowi? Jaką ona może mieć wartość dla Mauzuna? Masz źle w głowie, mój chłopaku.

Odpowiedziałem jej dwoma pocałunkami i oto jestem.

Mauzum, oparty na łokciu, słuchał z mocno błyszczącymi oczami.

— Ubieram się — rzekł, zeskakując z łóżka, poważny i wzruszony. — Chodźmy do Izaaka. Zedrze z nas niemiłosiernie, ale będziemy grzeczni nadal. Nie zniszcz jej — dodał z pewnego rodzaju tkliwym szacunkiem, wkładając fotografię do koperty i oddając ją Augerolle'owi. — Pewnego ranka pójdę do babci i poproszę ją, aby mi pokazała moje fotografie. Dziś nie, bo staruszki mogłyby robić niepotrzebne domysły z tego powodu.

Poczem, biorąc przyjaciela swego pod ramię, dodał z właściwym sobie humorem:

— Spodziewam się, że byłem równie, jak ty, ładnym chłopięciem — co najmniej. Mniejsza o to zresztą — dokończył już za drzwiami — jest to w każdym bądź razie, zastaw jaki Izaakowi nie zdarzało się otrzymał dla pożyczania tak znacznej sumy.

Tłum. Jotsaw.



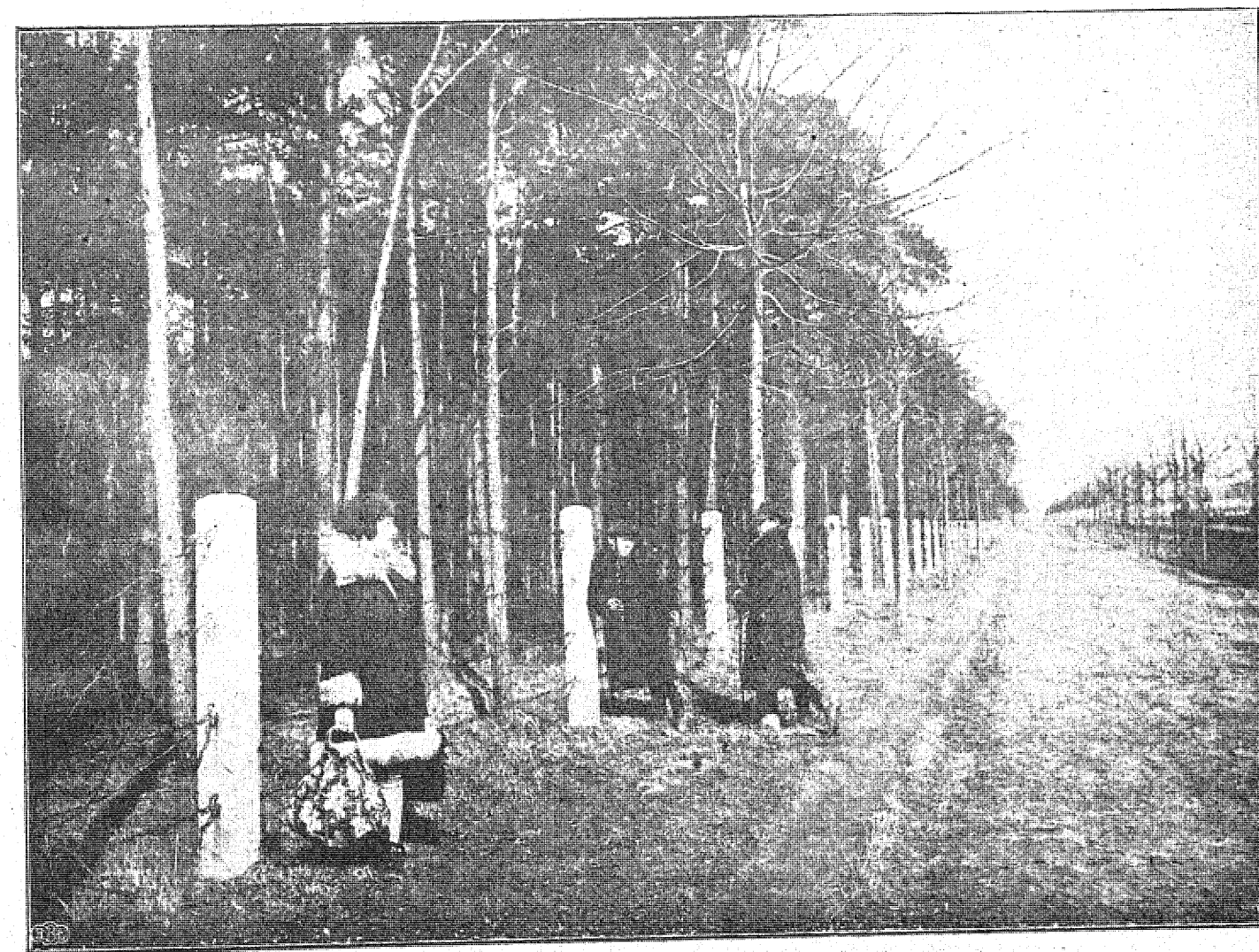
DODATEK ŚWIĄTECZNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Kon. VI.

Sobota, dnia 30 marca 1929 roku.

Nr. 13.

W pierwszych promieniach wiosennego słońca.



Wiosna, wiosna... — słyszy się wszędy radosne okrzyki entuzjastycznego powitania sypływającej promieniami ożywczego słońca na budzącą się ze snu zimowego ziemię z jej fauną i florą — tej matki wszechzycia — Wiosny. Doniedawna okryte śnieżnym całunem pola ukazały swą zwiędłą jeszcze lecz kielkującą życiem nowem ruń, a uginające się pod brzemieniem puszystych okiści drzewa wystrzeliły pąkami ku słońcu. Wszędy radość i wesele krasi oblicza ludzkie, znikane surową zimą. Powyżej widzimy lasok podmiejski w Brusie w pierwszych promieniach słońca wiosennego.

A Meyer